

# GAZETA POLSKA

STREFA WOLNEGO SŁOWA

190 lat „Gazety Polskiej”



*Józef Ignacy Kraszewski  
na czele „Gazety Polskiej”  
Wielka podróż po Europie*

**CZĘŚĆ 3**



Dodatek pod redakcją  
**Agnieszki Kowalczyk**



Czytelnicy „Gazety Codziennej” z 1860 r. z zapartym tchem śledzili kolejne etapy pierwszej wielkiej podróży Józefa Ignacego Kraszewskiego po Europie. Redaktor naczelny naszego pisma odbywał ją od maja do października 1858 r., a jej trasa była imponująca. Od rodzinnego Żytomierza wiodła przez Warszawę, Kraków, Wiedeń do Włoch, z którymi jego artystyczna dusza odczuwała więź szczególną. W czasie zwiedzania Wenecji, Padwy, Genui, Florencji, Rzymu, Neapolu stawali przed nim jak żywi mistrzowie wszech czasów – Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Rafael Santi, Donatello, Antoon van Dyck... Najważniejszym punktem na mapie jego podróży stało się Wieczne Miasto jako Stolica Piotrowa i sanktuarium sztuki. Klimat artystyczny Italii owładnął Kraszewskim bez reszty, utrwalając w nim nierozzerwalny związek ze sztuką włoską. Dalsza podróż odbywała się już statkiem do Marsylii przez Tulon i Nizję, wiodąc wprost do Paryża, gdzie pisarz zatrzymał się na dłużej. Później zaś przez Brukselę, Kolonię, Frankfurt, Lipsk i Berlin wracał do domu, na ukochany Wołyń. Relacje z części tej pasjonującej wyprawy zamieścił w „Gazecie Codziennej”, opisując niezapomniane wrażenia z podróży przez Austrię, Triest i Wenecję. Wspomnienia ujmujące całość swej europejskiej peregrynacji zawarł w dwutomowej edycji pt. „Kartki z podróży 1858–1864”, wzbogaconej o opisy kolejnych wojaży po Europie.





Plac św. Marka nazwany przez Napoleona „najpiękniejszym salonem Europy”

Życie codzienne Wenecjan

” Kraszewskiemu zapierał dech widok żelaznej drogi wijącej się serpentynowo ku wierzchołkowi Semmeringu z najdłuższym na świecie tunelem (1434 m) i kilkunastoma majestatycznymi wiaduktami. Pełen podziwu przyglądał się lokomotywowi wyprodukowanemu według planów Engertha, ich potężnym cielskom ciągnącym skład wagonów. To dzięki nim mógł chłonąć urzekające widoki alpejskie i ulegać fascynacji najnowszej myśli technicznej.



## Semmering – spektakl techniki i natury

Wysokogórski szlak Semmering zafascynował Kraszewskiego niedostępnością przestrzeni górskich grzbietów, niebezpiecznych przełęczy i bezdennych przepaści.

**K**raszewski rozmiłowany w wędrownkach po ziemi ojczystej nie tak dawno jeszcze przemierzał Kresy tzw. rzemiennym dyszlem, jak zwykle się wtedy określał taki rodzaj podróżowania. Usadowiony w konnym zaprzęgu kontemplował z wolna mijane pejzaże, zatrzymywał się na postój w okolicznych karczmach, spotykał oryginalnych ludzi i słuchał ich niesamowitych opowieści.

### Obawy i miłe zaskoczenie

Inny zgoła sposób przemieszczania stał się jego udziałem, gdy wyruszył w grand tour po Europie i gdy konną bryczkę przyszło mu zamienić na szybkie pociąg – symbol nowoczesnego świata. Dla Kraszewskiego jednak ten upowszechniający się z dnia na dzień środek lokomocji odzierał doświadczane miejsca z wszelkiej poetyczności i pozbawiał możliwości bezpośredniego doznawania świata. Miał w sobie coś demonicznego i nieludzkiego. W wagonie człowiek stawał się rodzajem „numerowanego pakunku”. Tak źle usposobiony do kolei wyruszał z Wiednia do Triestu z przeświadczeniem, że ów zniechęcony twór z żelaza i stali odbierze mu całą przyjemność rozkoszowania się alpejskimi krajobrazami. Stało się jednak zupełnie inaczej niż przewidywał jego czarny scenariusz. Oto rozegrał się przed nim niesamowity spektakl techniki i natury. Geniusz ludzki i majestatyczna przyroda Alp zrodziły Semmering – szlak wysokogórski – jedyny taki na świecie. Ten czynny dopiero od roku odcinek kolejowy zafascynował Kraszewskiego niedostępnością przestrzeni górskich grzbietów, niebezpiecznych przełęczy i bezdennych przepaści.

### „Oku tchu braknie”

Trasa kolejowa Semmering stanowiła najświeższy nabytek Cesarstwa Austriackiego, a zarazem efekt inwestycji ekonomicznej rozwiniętej na niespotykaną dotąd skalę. Projekt zrodził się już w pierwszych dekadach XIX wieku i przewidywał połączenie Wiednia z regionami przemysłowymi, na północy – z węglowym Zagłębiem Karwińskim oraz kopalniami soli w Wieliczce i Bochni, a na południu – z portem morskim nad Adriatykiem. I tym właśnie drugim szlakiem podróżował Kraszewski niespełna rok po otwarciu całej trasy Wiedeń–Triest (inauguracja jej większej części miała już miejsce w 1854 r.). Najtrudniejszy odcinek Kolei Południowej mieścił się między Gloggnitz a Mürzzuschlag i do historii przeszedł właśnie jako Kolej Semmeringu.

Kraszewskiemu zapierał dech widok żelaznej drogi wijącej się serpentynowo ku wierzchołkowi Semmeringu z najdłuższym na świecie tunelem (1434 m) i kilkunastoma majestatycznymi wiaduktami. Pełen podziwu przyglądał się lokomotywowi wyprodukowanemu według planów Engertha, ich potężnym cielskom ciągnącym skład wagonów. To dzięki nim mógł chłonąć urzekające widoki alpejskie i ulegać fascynacji najnowszej myśli technicznej: „Zaledwieśmy minęli Wiedeń, w prawo zaraz ukazały się nam pagórki, które rosły i podnosiły się w oczach, w miarę jak się ku nim zbliżali. Powoli przybrały one rozmiary olbrzymie i kraj fizjonomii alpejskiej rozwinął się przed zdumionymi oczyma naszymi [...]. Góry wyniosłe pokryte jodłami i modrzewiowymi lasami, poprze-

Kolej Semmeringu była arcydziełem sztuki technicznej zaprojektowanym przez Carla Ghega przy współudziale polskich inżynierów – Pilarskiego, Lewickiego, Męciszewskiego, Rychlewicza, Szynglarskiego i Osieckiego, których nazwiska z dumą wymieniał Kraszewski. Aby zrealizować wielki projekt, należało pokonać znaczną różnicę poziomów między Gloggnitz (439 m n.p.m.) a stacją Semmering, która miała być najwyżej położoną na świecie (896 m n.p.m.). By połączyć oba punkty i zapewnić bezpieczną komunikację, wydłużono sztucznie trasę, która ciągnęła się na długości 28 km.







Przed wejściem do bazyliki św. Marka



## Stolica dożów, czyli nieboszczka królowej Adriatyku

cinane ogromnymi złomami skał szarych, szczyty zielone, czarne, białawe otaczają gościniec, opasują, ściskają, piętrzą się nad nim, kładą u stóp i co chwila zmieniając, tworzą nieskończonej różnorodności obrazy. W tych warunkach szybkości nikt dotąd z ludzi górskich widoków nie oglądał, ptaki tylko latające nad nimi; dlatego dziwią i przerażają te zmiany nieustanne kolorytu, światła, cieni i punktów widzenia. Oku tchu braknie. Droga wije się po wspaniałych piętrzących się wiaduktach, to zagłębia w czarne tunele, skręca kapryśnie, wygina nagle... tak że patrzący co chwila pragnąłby szatański ten lot powstrzymać, nasycić się zmieniającą panoramą – ale nim pomyślał, już znikła [...] wszystko to wiruje w jakimś tańcu przerażającym [...]. Sny i czary!”

### Bukiet alpejskich kwiatków

Dla Kraszewskiego jedenastogodzinna podróż koleją przez Semmering to niezwykły spektakl natury, którego widzami są pasażerowie, a reżyserami – inżynierowie i budowniczy drogi żelaznej zawieszanej w samym sercu dziewiczej przyrody. Współczesny historyk literatury Tomasiak pokusił się nawet o porównanie doznań Kraszewskiego z przeżyciami, jakie stają się udziałem miłośnika opery. Stało się tak być może dlatego, że redaktor naszej gazety spędził wieczór poprzedzający podróż w Alpy, oglądając w Wiedniu operę Verdiego „Rigoletto”, która, nawiasem mówiąc, wcale mu się nie podobała jako pełna „wrzawy i efektów”, będąca „dziwną karykaturą ideału”. A muzyka wydała mu się jeszcze gorsza – sztuczna, pozbawiona życia, „wysilona i chłodna”. Opera zamiast czerpać swą siłę z harmonijnej syntezy sztuk, okazała się w istocie ich „nieforemną łataniną”. W porównaniu z wystawieniem Verdiego „Semmering” stał się dla Kraszewskiego prawdziwą operą, której poszczególne elementy współtworzyły idealną jednię, gdyż jak pisał, „pod względem sztuki nawet wspaniałym mostom i podziemiom, nic zarzucić nie można, tak dobrze wyglądają wśród dzikiej alpejskiej panoramy”. Ta droga żelazna „jest jakby wędzidłem, które geniusz człowieka narzucił dzikiej naturze”.

Kraszewski, przemierzając się pociągiem ma świadomość, że w wieku pary i elektryczności przestaje się być podróżnym, włóczęgą, piechurem, a staje się tylko pasażerem. Zupełnie zmienia się wtedy perspektywa widzenia. Status pasażera pozbawia bowiem aktywności poznawczej i emocjonalnego zaangażowania w to, co się ogląda. Przeskakujące w ułamkach sekund obrazy tłoczą się i zmieniają, tak że trudno je od razu wszystkie odróżnić, zarejestrować, pojąć ich głębsze sensy. Toteż moment postoju będzie dla pisarza swoistym objęciem w posiadanie świata zewnętrznego, który wedrze się do wagonu i przytłoczy go w chwili, gdy otworzy okno. Wówczas to podbiegające do pociągu dzieci obdarzą go bukietem alpejskich kwiatów, między którymi odnajdzie swojskie przylaszczki. Ale gdy parowóz znów ruszy, te „swobodne łąk górzystych dzieci” uschną zaraz w dusznym przedziale.

Kraszewski dotarł do Triestu, w którym przesiadł się na statek. Nadciągała burza, w oddali biły pioruny, a w podróżnych narastał niepokój...

**Z**a nimi widniało miasto połyskujące światłami na tle nocy, a przed nimi rozpościerało się wezbrane morze raz po raz oświetlane błyskawicami. Groźna chmura zmieniła na szczęście swój kierunek, sunąc w stronę Capo d'Istria. Pasażerowie „Romy” mogli więc spokojnie odetchnąć. Przed Kraszewskim otwierał się teraz ciemnoszafirowy nieboskłon usiany błyszczącymi gwiazdami.

### „Z królowej stała się niewolnicą”

Tę noc na Adriatyku zapamiętał na zawsze: „[...] cicha, przezroczysta, choć ciemna, uroczyście i wspaniale piękna, morze uspokojone, niebo – jakby je stworzył artysta”. Zanurzył się więc całym sobą w cichości tej nocy i czekał... aż z morza „narodzi się” Wenecja. Stworzył już w swym umyśle jej idealne wyobrażenie, ale zderzenie z rzeczywistością przyniosło rozczarowanie... Jego oczom ukazała się nie owa wyśniona „majestatyczna królowa morza” – Venezia la bella, lecz povera Venezia – w ruinie, zimna, blada, zbiedniała. Nie takiego widoku się spodziewał... Oto wyrastał przed nim upadające miasto. Jego gmachy wydawały się „stare, ponachylane, małe ołowiane dachy miały koloryt trupi, nie odbijały promieni światła, zmatowane, zwiększały jeszcze wrażenie zwalisk i śmierci, które mimo ślicznego poranku wiało od nieboszczki królowej Adriatyku”. Pierwsze spotkanie z Wenecją uczyniło na pisarzu przynębiające wrażenie. Widział przed sobą ruiny bez majestatu, popękane mury ścian, ołowiane kopuły. Wszystko zaś jakby „śmiertelnym całunem” okrywała jakaś biała zimna powłoka. Nie była to dawna, potężna Wenecja dożów, bo „z królowej stała

się niewolnicą”. Tej myśli Kraszewski już nie dopowiada, ale należy przypomnieć, że Wenecja była najdłużej istniejącą w dziejach republiką. W 1797 r. została zdobyta przez Napoleona, a po podpisaniu pokoju w Campo Formio włączona do Austrii. Jak się więc okazuje, między naszą Rzeczpospolitą a Republiką Wenecką istniała pewna wspólnota losów wyrażająca się w umiłowaniu ideałów demokratycznych, w działaniu tego samego mechanizmu dziejowego – od wzrastającej potęgi do upadku i niewoli, wreszcie w podległości temu samemu okupantowi – Cesarstwu Austriackiemu.

### „Strupieszale czółna”

Gdy tylko statek zatrzymał się w porcie, wówczas opuszczających pokład obstąpiły zewsząd gondole. Kraszewski wyruszając do Italii, marzył, że zobaczy owe słynne weneckie barki z czarno okrytymi siedzeniami... I rzeczywiście, te, które ujrzał, ogólnym kształtem i zębatymi nosami przypominały gondole z obrazów Canaletti..., ale te współczesne odarte były całkowicie z uroku dawności. Wyglądały dość pospolicie – z przodu miały kilka ław do siedzenia, pstry baldachim osłaniający od słońca, a obszarpani gondolierzy czekali tylko na zarobek. Oglądane przez Kraszewskiego „strupieszale czółna” były niegdyś „starożytnymi zabytkami” dającymi najlepsze wyobrażenie o dawnej Wenecji – „długie, zręczne, całe pomalowane na czarno, z żelaznym błyszczącym dziobem o szczęściu zębach, w pośrodku miały okryte jak katafalk kirem czarnym siedzenie, które zewsząd się zamykało firankami i szybami, a zdejmowało rzadko. Kształty ich zręczne [...] czyniły je największą ozdobą lagun Wenecji”. Tradycyjną barwę, w której kryła się miłość i zemsta, zastąpiła odkryta, przewożąca zwykle Anglików lornetujących chłodno stare mury i ze zdziwieniem przyglądających się austriackim orłom nad wrotami opustoszałych gmachów. Z życia dawnych gondolierów – śmiałych i wesołych, a wywodzących się z Niccolottich albo Castellanonów – pozostał już tylko znak rozpoznawczy – czerwona czapka, która teraz bez różnicy pochodzenia zdobiła głowy potomków obu zgasłych facji.

### Upadek miasta „bije w oczy”

Wenecja narodziła się cudownie z morza i dziś morze grozi jej pochłonięciem. Dla Kraszewskiego stanowiła fenomen jako kraina ponad siedemdziesięciu małych wysepki poprzedzielanych lagunami i wijącymi się kanałami, nad którymi przerzucono trzysta kamiennych mostków. Przedmieściami tego dziwnego grodu są wyspy – Świętego Lazara, Świętego Michała, Lido, Murano słynące ze szklanych wyrobów, żydowska część – la Giudecca i Wyspa San Giorgio Maggiore. Wielką ulicą Wenecji przedzielającą na pół to malownicze skupisko wysp jest Canal Grande – żywa arteria miasta, którego



serce stanowi kościół św. Marka z Pałacem Dożów. Kraszewski z ciekawością przygląda się każdemu szczegółowi tego osobliwego miejsca. Spaceruje wąziutkimi uliczkami pośród ciasno ściśniętych i piętrzących się wysoko domów. Przypatruje się ich oryginalnym kształtom, balkonom, gankom zwróconym ku lagunie i schodkom zanurzonym w wodzie. Gdzieniegdzie spostrzega urzekające kościółki przyozdobione starymi rzeźbami.

Na każdym jednak kroku upadek miasta „bije w oczy”. Kryształowe niegdyś tafle wód zarzucone są teraz śmieciem, liśćmi, kuchennymi resztkami, stoją brudne i pełne fekaliów. Najwspanialsze kiedyś budowle grożą ruiną, prawie każda nosi na sobie ślady destrukcyjnego działania czasu, „zmarszczki starości”, część okien jest powybijana, drzwi zaryglowane. Inna znów dzielnica miasta zdaje się Kraszewskiemu tak opustoszała, jakby jej ludność wymarła. Od czasu do czasu zamajaczy za oknem tylko jakaś blada twarz lub jakiś nędzacz porzuci swe łachmany nad brzegiem, by zażyć kąpeli w kanale.

## Od rybackiej osady po republikę żeglarzy

Te weneckie ruiny i zapadające się gmachy przemawiają do wyobraźni Kraszewskiego, który poszukuje w nich ducha przeszłości, a jego wędrówka po mieście dożów staje się podróżą w głąb dziejów Wenecji. Swe początki zawdzięczała ona uciekinierom z okolic Padwy, którzy na niedostępnych wysepkach Adriatyku znaleźli bezpieczne schronienie przed pogromem Hunów. Tak powstawał „gród z morza” wznoszony na palach – rodził się z potrzeby chwili, z trwogi przed okrutnym Attylą – „Biczem Bożym”. Kawałek po kawałku wydzierany był morzu. Rósł jako owoc ponadludzkiego wysiłku – „pale drewniane, skała, ziemia musiały zewsząd stanąć przeciwko zalewowi wód, każdą stopę w pocie czoła przychodziło zdobywać”. Centrum przyszłego miasta wyznaczał najwyższy brzeg – Rivo Alto, na którym wzniesiono najstarszy kościół św. Jakuba. Z czasem sąsiednie wysepki połączyły się mostkami, a pod koniec VII wieku spośród naczelników poszczególnych wysp wybrano pierwszego w historii dożę – „stróża bytu i całości grodu”. W ten sposób ze skupiska wysp i mozaiki ludów zaczęło kształtować się państwo. Wenecja rosła w siłę dzięki żegludze, handlowi i wojnie – „z małej barki wyspiarza ubożego powstała barka niosąca go za połowem ryb na pełne morze, potem statek i okręt kupiecki”. Wkrótce stała się pośredniczką w handlu między północnymi Włochami a portami Morza Śródziemnego.

Dla Kraszewskiego losy Wenecji, fenomen jej rozwoju – od rybackich osad po republikę żeglarzy i miasto-arcydzieło sztuki – stanowią

„Wesoła, rozkoszna, bogata, miłośna Wenecja dziś jest staruszką przypominającą sobie dawne czasy, ale smutną, zamysloną, podupadłą. Groźba ruiny wypisana jest wszędzie: na kopułach kościołów, w opustoszałym Dożów Pałacu, w zarysowanych sklepieniach Świętego Marka, w ożywionych nawet Prokuracjach, w gmachach nad Wielkim Kanałem, świątyniach poprzerabianych na spichlerze i składy, w odświeżonych kilku niegdyś wspaniałych budowach, które już do obcych, nie do Wenejczyków należą [...]. Z dawnej wielkości i potęgi królowej Adriatyku szczątki tylko martwe zostały – stosy książek, ściany marmurów, mozaiki, obrazy, grobowce, wspomnienia... życie ulotniło się. Gdzieniegdzie zachowały się formy jego dawne, duch i siły znikły” – taka smutna refleksja zrodziła się w pisarzu, który odwiedzał Wenecję.



W Wenecji pełno mostów, mosteczków i kładek...

wykładnię historiozoficznego prawa, według którego o wielkości narodu i potędze państwa decydują walka i cierpienie, ustawiczne mierzenie się z przeciwnościami, hartowanie ducha. „Dopóki człowiek i państwo posuwa się naprzód – przekonuje Kraszewski – bojuje, potrzebuje pracować i bronić się albo ścierać, dopóty mężczyźni i krzepi się na duchu i ciele – spokój, wielkość uzyskana, odrętwienie, upadek, chyżo idą po sobie”. Taką drogą poszła właśnie Wenecja. Stworzyły ją: żywioł walki z morzem i z ziemią, niezmordowana praca i twórcza energia wielu pokoleń. One to stały się źródłem jej siły tak, iż była w stanie się oprzeć Karolowi Wielkiemu i Pepinowi, stawić czoła władzy papieży. Swego ducha hartowała podczas wojen krzyżowych, zyskując wpływy, łupy i bogactwa oraz zagarniając kolejne terytoria – Kandię, Cypr, Modon i Negropont. Wojenne zdobycze weneccy dożowie wmurowywali w ściany swego pałacu i w portyki kościoła św. Marka, który jest „cały z okruszyn i łupów wzniesiony”, zdobią go zamorskie kolumny, mozaiki i tajemnicze rzeźby starożytne. Apogeum świetności Wenecji przypadło na XV wiek, gdy pod jej wpływem znalazła się wschodnia część basenu Morza Śródziemnego – wybrzeża Adriatyku, Wyspy Egejskie, Cypr, Kreta, Korfu... Okręty Wenecji poszukiwały wciąż nowych ziem, a handel jej obejmował cały świat.

## Wyznawcy „poczwarnego prawa”

W XVI wieku zaczęły pojawiać się pierwsze symptomy stagnacji. Wenecja zdawała się powoli ustępować z teatru dziejów. Utraciła pozycję hegemonu handlowego po tym, jak Vasco da Gama odkrył inną drogę do Indii, otwierając przed Europejczykami nowe możliwości komunikacji z Azją. Odtąd Wenecja żyła już bardziej dawną sławą i skarbami zdobytymi w przeszłości, co przywiodło ją na skraj przepaści. Osąd Kraszewskiego jest gorzki: „Zbytek zmiękczył ludzi, obyczaje zniewieściałe odebrały siłę charakterom, bogactwa i dawna przewaga wbiły w zarozumiałość i dumę, rząd zamiast opiekuna stał się podejrzliwym prześladowcą, szukał nieprzyjaciół, posądzał o zdradę, stał się okrutnym i myślał utrwalić [swą władzę], siejąc postrach i grozę”.

Do niechlubnej historii Wenecji przeszła Rada Dziesięciu – swego rodzaju inkwizycja szerząca w państwie terror i paraliżująca obywateli strachem. Zawiązana została w 1310 r. jako instytucja rozjemcza w sporze dwóch stronnictw i od tej pory nie tylko utrzymała swą pozycję, ale zdobyła władzę despotyczną. Posiadała moc wydawania wyroków bez odwołania i ich tajemnego wykonywania tak, jakby państwu groziło ustawiczne niebezpieczeństwo. Dysponowała osobną policją, odebrała część uprawnień trybunałowi karnemu, podporządkowała sobie urząd skarbu i administrację tak, iż w jej rękach znalazła się rzeczywista władza w państwie. Podobnie, nieograniczone w swej działalności były sądy. Podczas rozprawy nie wzywano nawet obwinionego, nie dawano

mu obrońcy, a wyrok ogłaszano i spełniano natychmiast. Policja Rady Dziesięciu była wszechobecna i mieszała się do wszystkiego. „Śmierć, więzienie, wygnanie – jak pisze Kraszewski – groziły wszystkim co chwila, wyrok nie dopuszczał ani odwołania żadnego, ani kontroli. Najpotężniejszy w Rzeczypospolitej, najzasłużenijsi mężowie więcej nad innych byli na oku. Trybunał ten i jego wykonawcy, okryci tajemnicą, z twarzami zamaskowanymi, działający w ciszy, napadający niespodziewanie, napełniali niewysłowioną trwogą [...]. Opłacano zabójców i zbirów, kupowano szpiegów [...], pobudzając ich do potrzebnych zbrodni, a przemoc ta nie знаła granic moralnego prawa, [...] musiała zaszczerpić zepsucie i demoralizować wszystkie klasy społeczeństwa”. Powszechny strach budziła rozprzestrzeniająca się wszędzie działalność szpiegowska, której symbolami były tzw. brązowe paszce, czyli otwory w murach gmachów publicznych, gdzie wrzucało się donosy i oskarżenia, a cień podejrzenia wystarczył, by surowo ukarać obwinionego. Samo zjawienie się zamaskowanej postaci ze znakiem trybunału na piersi równało się śmierci. Zbrodniczą i wynaturzoną działalnością Rady Dziesięciu według Kraszewskiego niewątpliwie przyczyniła się do upadku państwa, ponieważ stała po stronie „poczwarnego prawa” przeciwnego wszelkiemu poczuciu sprawiedliwości.

W przekonaniu redaktora „Gazety Codziennej” despotyczne rządy Rady Dziesięciu, ciągłe oglądanie się wstecz, życie przeszłością, trwanie w застоju bez podejmowania nowych inicjatyw, a ponadto zagrożenie ze strony dwóch potęg – germańskiej i tureckiej, ostatecznie zgubiło Wenecję: „Tak powoli ukołysana pieśniami, rozmarzona, zniewieściała [...] Rzeczpospolita stanąwszy raz w biegu, doścignąć nie mogąc zawodników, nim upadła i postradała swą niezależność, już na upadek wewnętrzną zgnilizną była skazana”.



## Dzień zmarłychwstania Wenecji

W 1858 r. Kraszewski oglądał Wenecję, która patrzy w przeszłość, „bolejąca, a w mrokach nic nie widać, co by jaśniejszą rokowało zorzę. Dni boleści płyną powoli... cegły spadają z ruin i toną w lagunach... Niestety! Zmarli tylko cudem zmarłychwstają”.

**A**le taki właśnie moment zmarłychwstania Wenecji dane było przeżyć pisarzowi podczas uroczystości Bożego Ciała. Oto na jego oczach miasto zdawało się odradzać w dawnym blasku, wspaniałe jak przed wiekami. I chyba nigdzie indziej na świecie, jak stwierdzi Kraszewski, ten religijny obrzęd nie miał w sobie tyle prawdy, uroku dawności i poczucia więzi z tradycją przodków, tyle szczerzej „naiwności katolickiej”, co w Wenecji.

## Najpiękniejszy salon Europy

Nim jednak znajdziemy się na głównej scenie zdarzeń, na placu św. Marka, Kraszewski oprowadzi nas po mieście gondolierów. Najpierw zobaczymy Piazzette, plac, na którym stoją znane ze wszystkich rycin i fotografii dwie monumentalne granitowe kolumny. Wyciosano je podobno w Naksos i przywieziono w XII wieku do



„Pomimo niskości budo-  
wy, wykonanie, bogactwo  
szczegółów, ich różnaitość,  
charakter na pół wschodni,  
pół gotycki, świetność barw,  
wdzięk linii zdumiewają...  
czuć jeszcze w gmachu tym bu-  
dowanym przez wieki całą wielkość  
rzeczypospolitej, całą jej potęgę. [...] Lecz jakże  
dać wam wyobrażenie tego zlepką wieków, dziś  
jeszcze lśniącego od marmurów, mozaiek i złota!  
[...] Słupy z kosztownych kamieni są to zdobycze  
Wenecji, przybysze z różnych stron świata,  
wydarte Grecji i Wschodowi; płaskorzeźby w da-  
ninie przyniosły zwyciężone kraje; na wyrycie  
tych kamieni składały się ręce narodów i dłu-  
ta lat tysiąca, znajdziesz tu napisy starego Rzymu i Gre-  
cji, symbole wiary pogańskiej, zagadkowe zna-  
miona religii zgasłych i niepojętych i pierwiast-  
kowe roboty mistrzów chrześcijańskich i dopeł-  
niające je najnowsze z epoki Odrodzenia” – pisał  
Kraszewski o bazylice św. Marka.



Rejs gondolą

Wenecji. Nie mogły zmieścić się w bazylice św. Marka, więc porzucone na wybrzeżu długo leżały zapomniane. Dźwignięcia okazały się monumentów i ustawienia na Piazzecce podjął się dopiero niejaki Barrattieri, który w nagrodę za swój trud uprosił władze miasta o przywilej wykorzystywania placyku między kolumnami do „gry publicznej”. Rząd, pragnąc się potem wyzbyc owego uciążliwego monopolu, przemianował to miejsce w plac egzekucji. „Gracze ustąpili wisielcom i katowi”, a przesterżenie między pradawnymi słupami pokryła się krwią skazańców i na wieki pozostała już znakiem hańby. Z czasem kolumny stały się postumentami dla świętych – patronów Wenecji. Na jednej z nich w XIV wieku stanął posąg św. Teodora z krokodylem, a na drugiej – ulana z brązu figura lwa trzymającego księgę Ewangelii – symboliczne wyobrażenie św. Marka.

Naszego podróżnika interesuje więc każdy kamień Wenecji, każdy posąg, każda starożytna budowla. Staje się badaczem dziejów, który odszyfrowuje znaki przeszłości – swego rodzaju hieroglify mówiące o historii miasta. Jednocześnie na poszczególne zabytki patrzy okiem wytrawnego znawcy sztuki, rozmiłowanego w arcydziełach architektury, rzeźby i malarstwa, którymi urzeka go Wenecja. Z każdego miejskiego zaułka przemawia doń duch przeszłości i geniusz artystów. Zachwyca go gmach mennicy Zecca, stara biblioteka Libreria Vecchia kryjąca w sobie muzeum sztuki, Loggetta – „prześlizne cacko” stworzone przez Sansovina, „całe z marmuru i brązu, przedziwnego smaku i wykończenia”, bardzo oryginalny Pałac Dożów „z przepysznych, niezwykłego bogactwa wrotami”. Największe jednak wrażenie na Kraszewskim czyni bazylika św. Marka jako najwspanialsza perła architektury weneckiej, serce miasta i jego największy skarb.

Świątynia to fascynujący twór wieków, swoista mozaika różnych kultur, a nawet religii, której każdy kamień jest cenną pamiątką z przeszłości Wenecji. Świątynia króluje nad placem św. Marka nazwanym przez Napoleona „najpiękniejszym salonem w Europie, któremu tylko niebo godne jest służyć za pokrycie” i który zachwyca w każdym szczególe. Ta całość „okazała, dziwna i fantastyczna” stanie się sceną procesji podczas Bożego Ciała, gdy „przeszłość wstanie z grobu”, a „martwa Wenecja na chwilę powróci do życia”.

## Jak przeszłość wstaje z grobu

Podczas tej wielkiej uroczystości Kraszewski łączy się z tysięcznym tłumem. Plac św. Marka ożywia się, zapełnia ludem, rozbrzmiewa wesołym gwarem. Na masztach powiewają chorągwie, wokół kolumnad, nad arkadami Prokuracji, w oknach widać purpurowe zasłony, kobier-

ce, makaty. Weneccjanie zdają się zapominać o losie niewolników i tak jak przed wiekami manifestują swą potęgę. Kraszewskiemu nie udało się wprawdzie dostać do wnętrza tłumnie obleganej świątyni, ale znalazł dogodny punkt obserwacyjny przy portyku, stając na niebezpiecznie chwiejącej się ławeczce, a jego przewodnikiem, jak mówił – cicerone gratis, został ubogi gadatliwy szewc, typ starego gawędziarza dumnego ze swego miasta. Z poczuciem spełnienia ważnej misji wtajemniczył Kraszewskiego w arkana weneckiej tradycji obchodów Bożego Ciała. Nasz pisarz intuicyjnie chwycił jego dialekt i z nienasyconą ciekawością przyglądał się odświętnemu pochodowi. A słył w nim bractwa dwudziestu kilku parafii weneckich w obrzędowych strojach, w kapach rozmaitych kolorów i krojów, z przyszytymi na piersiach blachami i obrazkami, jedne boso, a inne w białych trzewikach. Niektóre z nich mogły poszczycić się nawet średniowiecznym rodowodem sięgającym XII bądź XIII wieku. Na czele zaś każdego szedł „starszy” dzierżący berło, za nim niesiono sześćościenne świeczniki i ogromne złożone latarnie z olbrzymimi świecami. Najbardziej okazałe zdobiły rzeźbione, wyłaczane anioły lub bogate ornamenty snycerskie. Każde bractwo starało się, by jego świeca przyćmiła swą pięknoscią pozostałe, stąd strojono je też w banderole, wstęgi, kwiaty, brązowe patery. Dalej połyskiwały obra-

zy świętych w drogocennych ramach, kosztownie złoczone i przystrojone, relikwiarze z mnóstwem figur, posągi, krucyfiksy... Dźwigający ołtarze i świece byli to ludzie olbrzymi, przypominający postacie ze starych obrazów Giorgiona. Uwagę przykuwały dzieci przebrane za świętych, zwłaszcza za małych Janów Chrzcicieli w baranich skórkach, z żywymi barankami na rękach. Kraszewski pisze, że „te śliczne dzieci wzbudzały wielki w tłumie entuzjazm, jedno chłopiętko półnagie, z barankiem do jego wzrostu dobranym, musiano nieść na rękach, bo by nie podążyło za procesją”. Za bractwami szły, śpiewając, „szkółki, sierotki, zgromadzenia różne, urzędnicy”, wojskowi, zakonnicy – franciszkanie, kapucyni, reformaci, dominikanie, karmelici, kler katedralny w kapach złotych... Po tych „olśniewających wspaniałościach, które końca nie miały”, ukazał się patriarcha z Przenajświętszym Sakramentem pod złotym baldachimem, którego sznury trzymali czterej szambelanowie. Rozbrzmiewała muzyka, a w porcie dawano z dział ognia. Redaktor naszej gazety z uwagą przyglądał się też ludowi. Dostrzegał jego pospolite, trywialne, a nawet karykaturowe rysy. Kobiety odznaczały się „dziką brzydkością” i Kraszewski na próżno szukał wśród nich piękności z obrazów Giorgiona i Tycjana. Ciągłe przesuwają się przed jego oczyma „oblicza zwiędłe, włosy siwe w nieładzie, poprzepinane srebrnymi iglicami, twarze nędzą,





cierpieniem i pracą wyżółkłe i zmęczone. Był to lud widocznie dożywający kresu dni swoich i przeznaczony na śmierć...”

## Wyglądało to na zabawę ludową

Zdumiewało Kraszewskiego zachowanie Weneccjan jakże kontrastujące ze sposobem wyrażania religijności przez Europejczyków z Północy. „Włosi z Panem Bogiem, jak zauważył, są wcale w innych niż my stosunkach, poufalsi, zażyłsi, pobożność pojmują inaczej, wiara ich i jej praktyki niekiedy nas gorszą, a zawsze zdumiewają. Procesja wydawała się jakby jakaś wystawa pamiątek, popis bogactw i ubiorów, nikt, ale [to] nikt dokoła nie modlił się, szeptali, rozmawiali, śmiali się, pokazywali sobie idących, głowami witali niosących świece i ołtarze, palili cygara, popijali lemoniadę, którą pod samym prawie portykiem Świętego Marka sprzedawano, zjadali ciasteczka... wyglądało to na zabawę ludową”. Dla Kraszewskiego było to manifestowanie wiary radosnej, bo lud w całej swej prostocie czcił Boga, więcej bawiąc się niż modląc, przekonany, że jego wesołość jest rodzajem nabożeństwa. Kraszewski pozostał na długo pod wrażeniem „wspaniałości, oryginalności tej procesji, która szła i szła bez końca [...], to był jakby sen i marzenie o starej rzeczypośpolitej”.

## Gondolą przez Canale Grande

Niezapomnianym przeżyciem dla polskiego pisarza było przepłynięcie gondolą przez Canale Grande, nad którego brzegami wznosiły się zabytkowe gmachy, ruiny i pozostałości pałaców przypominających o zgasłych już rodach weneckich patrycjuszów. Jego przewoźnikiem został stary Beppo – „Wenecjanin duszą i sercem” – niezrównany gawędziarz rozmówiony w mieście swych przodków tak samo jak ów szwec-gaduła z bazyliki św. Marka. Kraszewski, podniecony i zaintrygowany odkrywaniem tajemnic starej Wenecji, chwycił każde jego słowo wypowiedziane w miejscowym dialekcie. Część opowieści zrozumiał, części mógł się tylko domyślać. Znalazł się we władaniu ducha miejsca, kontemplując oglądane widoki – na lewo ciągnęło się Wybrzeże Słowian, nad wodami zdawał się panować kościół San Giorgio Maggiore z wysoką campanillą, na wprost rysowała się budowla Komory i przepiękny kościół La Salute. W oddali widniał szereg pałaców, spośród których niejeden przemianowany został na hotel. Taki los spotkał siedzibę rodowe Giustinianich czy Grassich. Kraszewskiego uderzył widok zaniedbanych i opustoszałych budowli, których ściany wykładane marmurem, bogato zdobione rzeźbą, popękwały i okryły się „pleśnią przedśmiertną”. Przed całkowitym upadkiem ratowały się tylko te, które przeszły w ręce rządu lub cudzoziemców. Inne popadały w ruinę. „Na najpiękniejszych rzeźbionych balkonach – wspominał z przykrością – wisiały łachmany, okna pozabijane były deskami, zapchane schnącą bielizną, tu i ówdzie blada twarz nędzy wyglądała z tych trumien rozsypujących się powoli [...]. Rażąca wszędzie ruina, serce się ścisnęło, parząc na nią, przez jej szatę brudną przebijając się musi myśl, aby dawną wspaniałość odgrzebać”.

## „Książę Sodomy” cały w brylantach

Kraszewski wsłuchiwał się w głos ruin i gmachów chylących się pod brzemieniem czasu, poszukiwał śladów ich dawnej świetności, pod powłoką nędzy i zniszczenia odkrywał piękno i majestat. Zachwyił go XV-wieczny pałac Foscarich, który ujrzał w ruinie. W murach tej wiekowej budowli republika wenecka gościła w 1574 r. słynnego uciekiniera z Polski – króla Henryka Walezjusza, o którym ambasador wenecki w Paryżu, Morisoni, mówił, że ubiór i ozdoby „nadają mu pozory miękkości i prawie kobiecej delikatności”. Nosił naszyjnik ze złota i bursztynu, a uszy przekute miał „na wzór mody damskiej. Nie zadawała się on noszeniem jednego kolczyka w każdym z nich, potrzeba mu aż podwójnych wraz z wisiorami, ozdobionymi drogimi kamieniami i cennymi perłami”. We Francji, pędząc rozwiązyły i rozrywki tryb życia, zyskał szybko przydomek „księcia Sodomy”, a na bal wydany przez



Na pierwszym planie weneckie gondole. W tle widać procesję w dniu Bożego Ciała

Katarzynę Medycejską przybył cały w diamentach, brylantach i perłach, z włosami posypanymi fioletowym proszkiem i w stroju błyszczącym brokatem. Ciekawe, jak prezentował się w pałacu Foscarich w 1574 r.? A był to jeden z najstarszych rodów Wenecji. Kraszewski poznał jego historię z relacji podróżniczej swojego rodaka Michała Wiszniewskiego i przytoczył ją czytelnikom „Gazety Codziennej”. Mianowicie, gdy w 1835 r. Wiszniewski zwiedzał oglądany obecnie przez Kraszewskiego gmach, zastał w nim ostatniego z rodu Foscarich, osiemdziesięcioletniego starca z bosymi nogami. Była to „żyjąca ruina wśród zwalisk pałacu swoich nadziadów”. W drugiej zaś izbie, przedstawiającej obraz nędzy i rozpacz, spotkał dwie jego siostry – ostatnie z Foscarich. Był to widok przejmujący, tym bardziej, że opowiadano, iż stryj owego starca roztrwonił w Trieście cały majątek rodu.

## Tajemnicze gmachy, tajemnicze historie

Wiszniewski przywiózł też z Wenecji bezcenny księgozbiór, w którym znalazły się ostatnie egzemplarze z biblioteki owych Foscarich, a może jeszcze innych starzych weneckich rodzin. Te unikatowe nabytki – stare księgi o historii Wenecji, rękopiśmienne kroniki, dzieła cenne i rzadkie – uległy jednak w kraju pod niebytność ich właściciela częściowo rozproszeniu, częściowo zniszczeniu, aż w końcu trafiły w ręce Kraszewskiego. Teraz sam pisarz przypatrywał się siedzibom znakomitych weneckich rodów. Stary Beppo pokazał mu pałac Mocenigo, w którym przez jakiś czas mieszkał lord Byron z piękną Margaretą Cogni, a nasz gondolier miał nieraz przewozić ich na wyspę Lido. Kraszewskiemu przypominały się „smutne dzieje tego człowieka, poety, i tej kobiety, która po włosku, z dziką namiętnością, na serio wzięła fantazję pańską do serca, nie pojmując, ażeby igraszką być mogła i służyć miała za żywe studium do poematu... W tych pałacach Mocenigo Byron, Kochając się i kłócąc z Margaretą, napisał »Don Juana«, »Marino Faliero« i niejedną strofę swych pieśni pełnych ognia, szyderstwa, niepokoju i tęsknicy”.

Każdy z tych gmachów krył w sobie jakąś tajemnicę, jakąś historię. Każdy posiadał swój indywidualny charakter, był dziełem sztuki. Pałac Balbi ochrzczono poetycznie Domem Desdemony, pałac Vendramin-Calergi ujmował szlachetnością i powagą stylu, gmach Fondaco dei Turchi – na pół rozwalony, w stylu arabskim był niegdyś własnością księżąt Ferrary, a potem przeznaczony został na gospodę dla kupców tureckich. Najbardziej urzekł Kraszewskiego Pałac Złoty – Casa d’Oro – „śliczne pieścidełko” w rodzaju gotycko-wschodnim: „Jest to jedna marmurowa koronka, przezroczyta, leciuchna, urozmaicona mnóstwem niespodzianych szczegółów, cała w balkonach i galeriach, cała w rzeźbach różnobarwnych tak pięknych

proporcji, choć niewielka, że gasi i zawstydzia znaczniejsze budowle wieków późniejszych [...]. Fantazja była twórcą tego architektonicznego cacka. Nawet ta frędzelka kamienna w górze wybornie zakończyła budowę haftowaną z kamienia”.

## „Bogu zbudowana świątynia...”

Płynąc przez cały Canale Grande, otoczony zewsząd przepyszny pałacami, Kraszewski odczuwał jakąś dojmującą tęsknotę za przeszłością, do której nie ma już powrotu. Serce ścisnęło mu się, gdy na każdym kroku dostrzegał ślady tego, co przeminęło, ślady życia potężnego i namiętnego, które zderzało się ze smutną teraźniejszością. Mimo jednak postępującego niszczenia i popadania w ruinę Wenecja zdawała się żyć własnym życiem. Tryumfował w niej wciąż duch dawnych wieków, który zniewalał Kraszewskiego. Najwymowniejszym zaś tego świadectwem jest sugestywny opis placu św. Marka, który zanurzony w mrokach wieczoru nie traci nic z uduchowionej atmosfery przeszłości:

„Oświecony gazem portyk Świętego Marka był czarowny, niby z tysiąca nocy jakaś ze złota i klejnotów zbudowana świątynia. Na ciemnym nieba szafirze jasno, srebrzysto występowały linie budowy, niezliczone jej kolumny, delikatne rzeźby, a zabłąkane światelka, migając na tle mozaik wywoływały z nich jakby żywe postacie Chrystusa i świętych... Nigdy piękniejszym być nie może plac i kościół jak wśród tak pogodnego wieczora. Jest w nich coś tak uroczego, poetycznego, świętego, wspaniałego, taką wieków powagą bije jego czoło, że mimowolnie, gdyby nad własną niedolą, rozczulasz się nad losem kraju, którego dziś jedynym całego życia dziełem pozostała tu z łupów i zdobyczy – Bogu zbudowana świątynia...”.

IV

## Jak dokonano się zjednoczenie Włoch

Podczas swojego pierwszego wojażu po Europie Kraszewskiego najbardziej zafascynowała Italia, którą odkrywał jako kolebkę cywilizacji chrześcijańskiej i skarbnicę arcydzieł sztuki.



Jednocześnie była to pouczająca wyprawa w głąb dziejów oglądanych przez pryzmat pamiątek przeszłości, wspaniałych zabytków, malowniczych ruin, miejscowych obrzędów i zwyczajów. Przekonać się mogli o tym czytelnicy „Gazety Codziennej”, płynąc razem z pisarzem gondolą przez Canal Grande, przeżywając uroczystą procesję Bożego Ciała na placu św. Marka czy poszukując w walących się pałacach ostatnich z rodu Foscarich. Kraszewskiemu jednak nie wystarczyło życie przeszłością. Na Wenecję patrzył przecież jak na dogorywającą staruszkę trawioną chorobą niewoli i z melancholią wspominającą szczęśliwe dni młodości...

## Włoski przykład dla Polski

Dla naszego pisarza Italia, którą pokochał od pierwszego wejrzenia, miała w sobie wciąż ogniste go ducha... Ducha walki, którego moc objawiła się w pełni w 1859 r., gdy cały Półwysep Apeniński ogarnęło wrzenie. Rozpoczął się wielki proces zjednoczeniowy Włoch, któremu przewodził władca Piemontu i Sardynii – Wiktor Emanuel II – wspierany przez wybitnego męża stanu Camillo Cavoura oraz nieustraszonego wodza Giuseppe Garibaldi. Dziesięć lat wcześniej, po stłumieniu Wiosny Ludów na Półwyspie Apenińskim stróżem narzuconego porządku stała się Austria utrzymująca wpływy w kilkunastu włoskich księstwach i w Państwie Kościelnym. W tej dekadzie rosła jednak potęga Królestwa Piemontu i Sardynii, które mogło przeciwstawić się despotycznym zapędom Cesarstwa Austriackiego, rozbudowując armię, a we Francji znajdując politycznego sojusznika. W 1859 r. Austria wypowiedziała Sardynii wojnę, a Francja przyszła jej z pomocą. W bitwach pod Magentą i Solferino rozgromiono armię austriacką. Włochów ogarnęła euforia. Zaczęli wierzyć, że uda im się osiągnąć upragniony cel – niepodległość i zjednoczenie ojczyzny.

Wydarzenia wstrząsające Półwyspem Apenińskim Kraszewski jako redaktor naczelny „Gazety Codziennej” śledził z zapartym tchem. Wcześniej zapoznawał czytelników z kulturą i sztuką Włoch, drukując na łamach pisma swoje „Kartki z przejażdżki po Europie”. Teraz, z równą gorliwością, wtajemniczał rodaków w sytuację polityczną Włoch jednoczących się i wypierających z kraju wojska austriackie. Całym sercem był z bojownikami o wolność, bo w ich walce widział niepodważalny dowód na to, że rozdarła między zaborców Polska też może w przyszłości odrodzić się w swych dawnych granicach. Na łamach redagowanej przez siebie „Gazety Codziennej” zamieszczał więc najświeższe wiadomości z Italii – doniesienia zagranicznej prasy, wypowiedzi znanych publicystów oraz listy i artykuły własnych korespondentów informujących o sytuacji na Półwyspie Apenińskim.

## Włochów wydziedziczono z Włoch

O tym, jakie przyczyny legły u podstaw ruchu Risorgimento, a więc idei wyswobodzenia Włoch spod obcej władzy i zjednoczenia ich pod egidą Wiktora Emmanuela II, pisał obszernie na łamach naszego dziennika M. A. de La Guéronnière w artykule „Francja, Rzym i Włochy”, odsłaniając dramat wieloletniego uciemiężenia włoskiego narodu przez Austriaków: „Gdy zwycięzcy podzielili Europę w r. 1815 – przypomina francuski publicysta – Włochy dostały się Austrii [...]. Panując w Mediolanie i Wenecji na mocy traktatów cesarstwo panowało także na małych dworach Parmy, Modeny i Florencji, przez związki rodzinne i interes wspólnego oporu. W tych rozległych łupach, wydartych przez koalicję z potężnej ręki Cesarza Napoleona I, Austria zagarnęła od Stolicy Apostolskiej prawie cały obszar posiadłości, które świeżo zajął Piemont. [...] Austria podjęła dzieło, które w średnich wiekach nie powiodło się cesarzom niemieckim, dzieło odarcia Włoch z ich charakteru narodowego; prowincje te podbite orężem, miały stać się klejnotem korony niemieckiej. W pokuszeniach tych Austria wyczerpywała wszystką swą zręczność i siłę.

Od tego czasu na żyznych równinach Ticino i Mincio, stały wobec siebie dwa ludy: zwyciężeni, nierozumiejący nawet języka swych panów, i zwycięzcy, pyszni

z podboju, zaufani w przyszłości; ci narzucali rząd, tamci byli mu posłuszni. Włochów wydziedziczono z Włoch; [...] opór przeciw panowaniu austriackiemu pomnażał tylko jego surowość: z nienawiścią wzrastała niewola”.

Pierwszą próbą wyrwania się spod austriackiej dominacji okazał się rok 1848. Włochy były gotowe do powstania i wówczas Piemont został „stróżem pokrzywdzonej niezawisłości narodowej”. Chociaż poniósł klęskę pod Navarrą, nie upadł na duchu i nie zбочzył z wytyczonej sobie drogi ku wolności. „Skupił w sobie [...] – jak pisze Guéronnière – wszystkie siły żywotne narodu; mówił i działał w imieniu Włoch; na radach mocarstw występował jako przedstawca pogiębionych Włochów, a na polu bitwy rozwinął chęć rągięw wspólnej ojczyzny”.



Giuseppe Garibaldi, bohater narodowy Włoch

## Nieustraszony bojownik o wolność Italii

Czytelnicy „Gazety Codziennej” byli z pewnością pod ogromnym wrażeniem czynów włoskiego polityka i nieustraszonego żołnierza, gotowego stanąć na przeciw całej armii Austriaków. Mowa o człowieku, który już za życia stworzył własną legendę, o walecznym i bezgranicznie oddanym narodowej sprawie Giuseppe Garibaldi. Był on zawodowym marynarzem przywykłym od dziecka do życia na morzu. Tę profesję odziedziczył po dziadku i ojcu – armatorach, właścicielach i kapitanach niewielkich statków handlowych. Przełomowym momentem w jego biografii okazało się spotkanie w portowej tawernie z Giovannim Battistą Cuneo, członkiem tajnego stowarzyszenia La Giovine Italia (Młode Włochy) założonego przez Giuseppe Mazziniego. Cuneo wciągnął Garibaldi do organizacji, a ten poprzysiągł, że walczyć będzie do śmierci o wyzwolenie ojczyzny spod panowania austriackiego. I tak też się stało. W 1834 r. brał udział w nieudanym powstaniu sabaudzkim w Piemontie pod wodzą Mazziniego, w 1842 r. objął dowództwo nad niewielką flotą urugwajską i powołał do życia „Legion Włoski”. Członkowie tej formacji, głównie włoscy emigranci z tych stron, mieli czarny sztandar z wulkanem pośrodku. Czern symbolizowała żałobę Włochów po utraczonej wolności, a wulkan – siłę drzemającą w narodzie. Znakiem rozpoznawczym Garibaldi i jego wojska stały się czerwone koszule, które bojownicy o zjednoczenie Włoch założyli po raz pierwszy właśnie w Urugwaju. Co ciekawe, otrzymali je od właściciela fabryki w Montevideo, który uszył je z przeznaczeniem dla pracowników argentyńskich rzeźni.

Garibaldi okazał się znakomitym wodzem, który po mistrzowsku opanował taktykę walki partyzanckiej, czemu dał dowody podczas skutecznej obrony Montevideo przed siłami argentyńskiego dyktatora Juana Manuela de Rosasa i byłego dyktatora Urugwaju Manuela Oribe. Do historii przeszły też jego głośne zwycięstwa w bitwach pod Cerro i Sant Antonio. Gdy tylko usłyszał, że w Palermono na Sycylii wybuchła rewolucja, natychmiast wrócił do kraju. Wiosna Ludów 1848 r. wyzwoliła w nim na nowo ducha walki. Zaferował swą pomoc królowi Sardynii Karolowi Albertowi, który chciał odbić z rąk Austriaków Lombardię i Veneto, dzięki czemu stałby się panem całych północnych Włoch. Garibaldi został jednak zlekceważony przez króla. Postanowił więc działać na własną rękę. Udał się w góry, by tam prowadzić walkę partyzancką, potem wziął udział w heroicznej obronie Rzymu przed wojskiem francuskim i stamtąd uciekał ściągany przez Francuzów, Austriaków, Hiszpanów i Neapolitańczyków. Odtąd rozpoczął się dla niego okres długiej tułaczki. Po dziesięciu latach, gdy wybuchła wojna o niepodległość Włoch, Wiktor Emanuel II przypomniał sobie o nim, chcąc wykorzystać jego popularność wśród Włochów. I rzeczywiście, Garibaldi porwał swoich rodaków do walki. Stał na czele „wyprawy tysiąca”, której celem było opanowanie Królestwa Obojga Sycylii i włączenie go do niepodległych Włoch.

W „Gazecie Codziennej” pojawiają się więc najnowsze doniesienia o wyprawie „czerwonych koszul” na Sycylię. Czytamy m.in. o entuzjastycznych reakcjach Sycylijczyków na przybycie Garibaldi, który wyzwoił ich ziemię spod władzy Burbonów. Gdy tylko nieustraszony wódz wyładował ze swymi oddziałami w Marsylii, 20-tysięczny tłum przywitał go okrzykami: „Viva Italia! Viva liberta! Viva Garibaldi!”. Wojsko, nie mogąc rozpedzić zgromadzonych, zaczęło do nich strzelać. Zabito pięć osób, dwanaście raniono. Śmierć poniósł dziesięcioletni chłopiec zakłuty bagnetem, co jeszcze bardziej wzmoгло falę gniewu. Król Wiktor Emanuel II, niepopierający oficjalnie „wyprawy tysiąca”, stwierdził jednak, że gdyby fortuna odwróciła się od Garibaldi, to on go wtedy nie opuści.

## Słowa wodza stały się prorocze

Wyprawa „tysiąca czerwonych koszul” (1087 ochotników) pod dowództwem Garibaldi odniosła spektakularny sukces. Dzięki poparciu miejscowej ludności jego siły wzrosły do 20 tys. i w ciągu zaledwie czterech miesięcy stał się panem całych południowych Włoch. Opanował państwko liczące 9 mln mieszkańców, a dotychczasowego króla Franciszka II zmusił do ucieczki. Najpierw w maju pobił pod Calatafimi 3-tysięczną armię wroga, a gdy wojska Burbona ruszyły z pomocą pokonanym, wówczas upozorował ucieczkę, by je rozproszyć. Sam zaś wkroczył do niemal niestrzeżonego Palermo, które ogarnięte było znowu wrzeniem rewolucyjnym, i z pomocą floty brytyjskiej opanował miasto, odpierając ataki nieprzyjaciół bombardujących je z wszystkich stron. Zaskoczył nawet wroga strzegącego Cieśniny Mesyńskiej, lądując na jego tyłach i siejąc postrach wśród zaskoczonych żołnierzy. Garibaldi mógł czuć się już zwycięzcą i jako tryumfator wyszedł naprzeciw Wiktora Emmanuela, który ze swoimi wojskami nadciągał z północy. Pod Teano przywitał władcę Piemontu, tytułując go królem całych zjednoczonych Włoch. Słowa wodza stały się prorocze. Przeprowadzony w październiku plebiscyt zdecydował o przyłączeniu południa Italii do królestwa sardyńsko-piemontko-lombardzkiego. W marcu 1861 r. proklamowano Zjednoczone Królestwo Włoch, a jego pierwszym władcą został Wiktor Emmanuel II.

## „Gazeta Codzienna” we włoskim parlamencie

Czytelnicy „Gazety Codziennej” dzięki relacji naszego korespondenta z Italii mogli przenieść się do Turynu, by uczestniczyć 2 kwietnia 1860 r. w obradach parlamentu jednoczących się Włoch. To narodowe zgromadzenie, na którego czele stanął Wiktor Emanuel II, potwierdziło przyłączenie do „krajów





Port Wenecji

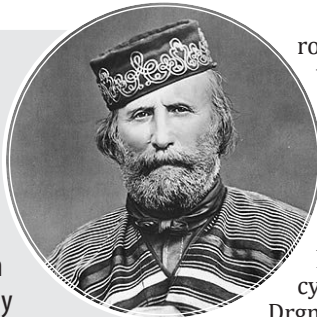
sabaudzkiego domu” Lombardii, Toskanii, Parmy, Modeny i Romanii. Jak donosił autor „Listów włoskich” drukowanych w „Gazecie Codziennej”: „Dzieło aneksji było tak prędkim, tak nagłym, że nie miano nawet czasu wystawić odpowiedniego w Turynie gmachu dla objęcia tak wielkiej liczby posłów, a nierównie jeszcze większej liczby widzów [...], którzy ze wszystkich stron półwyspu, rzec nawet można półkuli, na tę uroczystość zjechali [...]. O 9. wszystkie już były zapelnione trybuny. Przednie rzędy zajęły piękne Włoszki, z najwyższych rodzin, w świątecznych strojach, za nimi reprezentanci mniej pięknej połowy rodzaju ludzkiego, mieścili się jak mogli, i dokazali cudów w tej mierze; uniżony korespondent „Gazety Codziennej” nogą oparty o gzyms filaru, ręką trzymając się jakiejś przyległej a opatrzonej kariatydy, a barki opierając [...] o sklepienie, wisiał godziny w akrobacyjnej postawie, o której tylko mogą dać wyobrażenie pewne skrócone figury potępińców w Sądzie Michała Anioła. [...] Nikt tu nie był obcy drugiemu, wszyscy zdawali się tworzyć jedno i od dawne zażyłe z sobą towarzystwo”.

## Wielki powrót bohaterów

W tym wielkim i przełomowym momencie naród włoski poczuł się jednością i zapragnął tę jedność zmanifestować. Nagle całym gmachem wstrząsnęły potężne oklaski i wiwaty zapowiadające przybycie monarchy. Król ubrany był w zwykły ciemny mundur z szabłą u boku, podobnie ministrowie – zgodnie z obyczajem dworu piewonckiego odznaczającego się surową prostotą. Wtem wszystko ucichło na głos ministra spraw wewnętrznych Luigiego Fariniego. Rozpoczął on ceremonię składania przysięgi królowi przez pięćuset deputowanych i senatorów. Nasz korespondent czuł się niezwykle poruszony, gdyż w tym momencie odżyła dla niego cała potęga dawnych Włoch. Zmartwychwstała na dźwięk nazwisk jej bohaterów: „Słyszałem nazwiska wielkie, starożytne, których dźwiękiem Muza historyczna, kołysała moją uniwersytecką młodość, gdy czytałem Villaniego, Paola Giovia, Macchiavella, Guicciardiniego; słyszałem inne, które od lat tyle są głośne w nowożytnej Italii, stanowią jej zaszczyty w nauce, w literaturze, w polityce, w wojsku [...] jak Cavour, Ricasoli, d’Azeglio, [...], Garibaldi, Manzoni [...]. Na tak lotnej liście ileż tu [...] niezatartych nazwisk; w tak małej Sali ileż tu wielkich mężów, i mimo woli powtórzyłem cicho słowa giermka w balladzie Goethego: »Co za niebo! Gwiazda obok gwiazdy!«”.

Z uwagą przypatrywał się też królowi. Rysy jego twarzy, choć nieregularne, tworzyły jednak harmonijną całość – „marsową, godną, poważną, jeśli nie ostrą, i mają więcej francuskiego typu niż włoskiego”. Teraz Wiktor Emanuel miał zabrać głos. Pierwszy ustęp jego przemówienia o rozszerzeniu granic państwa i oswobodzeniu ojczyzny spod obcego panowania wywołał falę euforii. Takiego entuzjazmu nie podzielano już przy wzmiance o ofiarach Francji – wielkiej sojuszniczki Włoch w wojnie z Austrią, a całkowitym milczeniem przyjęto fakt oddania Sabaudii i Nicei Cesarstwu Francuskiemu. Tę złowrogą ciszę przerwały wkrótce huczne wiwaty. Oto bowiem podjęto kwestię wzajemnych stosunków między jednoczącymi się Włochami a papieżem, które chciało utrzymać swoją dotychczasową władzę na Półwyspie Apenińskim.

Korespondent „Gazety Codziennej” tak oto sportretował Garibaldi: „Jest średniego wzrostu, barczysty i silny, z bujnymi włosami trochę rudawymi [...]. Stąpa mocnym i poważnym krokiem – ma ruchy marynarza, równie jak twarz i mowę. Ubiera się zapinając pod szyję, w kapeluszu z szerokimi brzegami tak zwanym kalabryjskim i w szerokich spodniach. Ruch miejski nudzi go i miesza, lubi góry ze starymi drzewami zawsze zielonymi, widok otwartego nieba i dalekiego morza. Ma [...] wzrok bystry a razem miły [...]. W rozmowie jest prostym [...], chwali lub gani; lecz [...] wymownym się staje; gdy jest mowa o Włoszech, o śmiałych przedsięwzięciach, a nawet podstępnych, aby ująć agguantare (ulubione jego słowo) i zwyciężyć nieprzyjaciela. Jego wielką zaletą jest prawość, waleczność rycerska w wojnie, lubi jednakże okrzyki ludu. Pogardza dumnie pieniędzmi i wygodami [...]. Trudno byłoby Garibaldiemu w dowództwie zastąpić, ma bowiem tak popularne imię we Włoszech, Europie i południowej Ameryce, jak nikt za dni naszych; i jego imieniu winni Włosi, że 10 000 ich z różnych prowincji niewielkiego wówczas kraju, zapisało się dobrowolnie pod chorągiew »strzelców Alpejskich«”.



rola Alberta – poprzedniego władcy Piemontu, ojca Wiktora Emanuela II, twórcy rzeczywistej potęgi państwa. „Jakaś nieprzeparta moc mnie pociągała w tej chwili do grobu – wyznawał – jakiś tajemniczy pęd serca kierował mymi krokami ku wiecznemu przybytkowi ojca w dzień, w którym syn na skroń swą wkłada koronę Italii.... drgnęłyż w ten dzień popioły zwycięzcy pod Goito a zwyciężonego pod Nawarą? Drgnęłyż – radością czy trwogą?...O, bo przecież i on całe życie wyglądał dnia takiego [...] i jemu wciąż świeciła przed oczami ta lombardzka korona! Tylko, że [...] pod błogosławieństwem [papieża] myślał przywdziać upragniony diadem [...]”. Autor „Listów włoskich” przyparł pierśią do grobowego kamienia, by sprawdzić, czy drgnie. Ale nic nie usłyszał, tylko bicie własnego serca. Ten spokój zmarłych wydał mu się przerażający... Zatopił się w rozmyśleniach nad losami Karola Alberta rozdartego wewnętrznie między narzucanym mu przez zachodnie mocarstwa kierunkiem polityki a pragnieniem niepodległości kraju. Był władcą, który dążąc do zjednoczenia Włoch, podjął heroiczną próbę odbicia Lombardii z rąk Austriaków i jako pierwszy „wywiesił chorągiew włoskiej sprawy”, działając w przymierzu z papieżem Piusem IX. W Karolu Albercie widział nasz korespondent chrześcijanina, katolika, mistyka czekającego na przyście wielkiego pasterza – papieża, który by „dawne wskrzesił dzieje, z Watykanu zawołał: fuori i barbari!, w rękę wziął świętą chorągiew Italii i jego pasował na wodza krucjaty! Krzyż a miecz! Takie było hasło żywione przez tyle lat w sercu Karola Alberta – i o dziwo! – po tak długim wyczekiwaniu, po tylu latach próby, weszła w istocie wyglądana gwiazda, weszła na horyzoncie chrześcijaństwa, na pięknym niebie Italii!...”. Ta gwiazda, która weszła w czasie Wiosny Ludów, zaraz jednak zgasła. Karol Albert pokonany został przez Austriaków w 1849 r. pod Navarą.

## Urodzony zwycięzca, ludzki król

Dla naszego korespondenta postać króla, w którym „paliła się myśl ognista – myśl Italii”, miała swój charakter, swe wnętrze i swe tajemnice. Było w niej coś z postaci Rembrandta i Velázqueza, których twarze są szorstkie, zorane, lecz głębokie – pełne światła, ale i pełne cienia, słowem – pełne wyrazu. Postać jego jest tym bardziej niezwykła, że owiana mgłą romantycznej poezji. Przypomina autorowi listów samego Mickiewicza Konrada Wallenroda, ucznia Halbana i skrywa w sobie coś ze szlachetności bohaterów Byrona. Zupełnie inaczej w „Listach włoskich” przedstawiony został jego następca, syn Wiktor Emanuel II, który dokonał ostatecznego zjednoczenia Włoch – „jasny i zrozumiały od razu”. To śmiały żołnierz, ludzki król, dobry towarzysz, popularny, wesoły, odważny, przypominał Henryka IV. Zdawało się, że nie miał żadnej skazy, żadnej ciemnej strony. Był urodzonym zwycięzcą – „Victor on i przy nim zdaje się victrix causa”. Gdyby jednak autor listów miał przyznać któremuś z nich palmę pierwszeństwa, wybrałby zdecydowanie Karola Alberta, który miecza nie oddzielał od krzyża.

„Gazeta Codzienna” pod redakcją Kraszewskiego wyraźnie opowiadała się za ruchem zjednoczeniowym dokonującym się we Włoszech. Tym samym uświadamiała Polakom, że wybicie się na niepodległość jest możliwe, a Austrię da się pokonać. Na przykładzie włoskich bojowników o narodową sprawę, owych Garibaldich, Mazzinich, Cavourów, ukazywała, iż droga ku wolności jest trudna, wymaga ogromnych poświęceń i ofiar, ale niesie z sobą nadzieję, ratuje od rozpaczliwej ostatecznej zwątpienia. Odrodzenie Włoch wlewało w serca naszych rodaków wiarę w zmartwychwstanie ojczyzny. Niedługo przecież, bo w 1863 r., także i Polacy poderwały się do czynu narodowowyzwoleńczego, by urzeczywistnić swe dążenia niepodległościowe.

## Trudne relacje państwa z Kościołem

Już w artykule Guéronnierego pojawiła się myśl, że Włochy i papieżstwo powinny iść ramię w ramię, bo tylko ich przymierze zagwarantować może wielkość Italii. „Równie trudno – pisze francuski publicysta – wyobrazić sobie Włochy bez papieża, jak papieża bez Włoch. Powiązani są razem tradycją, dziejami, powszechnym szacunkiem wszystkich narodów katolickich dla głowy Kościoła”. Problem relacji państwa Wiktora Emanuela II i Państwa Kościelnego niepokoił również mocno naszego korespondenta, którego uwadze nie uszło to, że uroczystych obrad parlamentu nie poprzedziła żadna msza święta. Miał on wrażenie, że Włochy, zrywając z papieżem, zrywają z Bogiem, że zaczynają nowy etap historii bez Bożego błogosławieństwa. W związku z tym pisał: „Gdy wynurzył Włochom moje zdziwienie, że obchodu tak ważnego, tak znaczącego, nie poprzedziło żadne solenne nabożeństwo, odpowiedziano mi, że tego tu nie ma zwyczajem; co jakoś wcale przypaść nie chciało do mego słowiańskiego umysłu [...] połączono ziemię, nie spojrzawszy w niebo; nie wezwawszy Ducha Świętego: o! ta myśl mi szarpała serce i nie rumienię się z tego wyznania – non enim erubescio Evangelium! [nie wstydzę się bowiem Ewangelii] – a rumieniłbym się za czytelnika, który by tu się chciał litować nad moją słabością”.

## Nad grobem Karola Alberta

W ten dzień otwarcia parlamentu, tak hucznie świętowany przez Włochów, nasz korespondent szedł przez miasto ustrojone w festony, girlandy, chorągwie, przez miasto rozentuzjasmowane i wiwatujące, opromienione słońcem i radością mieszkańców. Szedł jednak głęboko zamyślony wśród odświętnie ustrojonych kobiet i umundurowanych mężczyzn. Mijał ich szybko, zmierzając w miejsce odludne, na Superge, by tu uklęknąć przy kamieniu, który kryje zwłoki Ka-